



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

SYON.

Nie tylko w ziemi św. napotkać można Syon, od niepamiętnych bowiem czasów, miejscowość tego nazwiska była stolicą szwajcarskiego kantonu Walii, siedliskiem biskupów, i niby małą Jerozolimą, do której kościołów pielgrzymowały nieustannie tłumy ludu. Jest to bardzo starożytne miasto oryginalnego wyglądu, znane już za czasów Juliusza Cezara, leży w malowniczej górskiej okolicy, w pobliżu ujścia Syony do Rodanu. Nieprzystępne już z powodu urwistej dokoła przyrody, jak to widzimy na rycinie naszej, otoczone jest nad to fosą, wałem i murem potężnym. W bramach są tu pomalowane obrazy, których treść poczerpnięto z Pisma św. Wązkie kręte uliczki, wspinające się po stokach przepaści- stych skał, mają bardzo stare domy obok nowych zupełnie. Wieńczą wszystko, na szczytach skalistych osiadłe dwa pyszne gotyckie zameczyska zwane: Tourbilon i Valeria, w ostatniem z nich zachowują się jeszcze szczątki obszernej kaplicy. Spustoszenie obok śladów dawniej potęgi i przepychu widne tu wszędzie, zewsząd też roztacza się przecudowny widok na Alpy, jakiemu trudno równie pięknego znaleźć. W mieście wśród innych starożytnych budynków, odznacza się kościół katedralny architektury bizantyjskiej, z piętnastu ołtarzami i mnóstwem pomników, oraz stara bardzo *Psia wieża*, o której ponure snują się



Syon.

legandy, dotyczące srogięj kary, wymierzonej tu niegdys wielkiemu winowajcy, przez jednego z sabaudzkich książąt. Poniżej, prześliczne drożyny wiodą do kilku klasztorów. Wszystko tonie w gajach morwowych, figowych i w winnicach o przewybornym owocu. Patrząc na to rozkoszne otoczenie, smutno jest pomyśleć, że miasto Syon ośm razy we krwi się skąpało, zdobywane straszliwym szturmem. W r. 888 zdobył je najpierwszy Rudolf I-szy Burgundzki, ostatecznie zaś w 1798 r.

Francuzi. Pomimo tak pięknej i zdrowodawczej napozór przyrody, ludność kilkotysięczna smutny przedstawia widok, gdyż w znacznej części dotknięta jest kretynizmem, czyli niedołążstwem umysłowym.

POD WPŁYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— To prawda! — przyznała szczerze młodzież zdziwiona, sprawdzwszy kule — a więc któż zabił niedźwiedźcę? bo co piastuna to Petöfi zabił nożem, a ty dobiłeś go tylko toporkiem. — Góral rozśmiał się:

— Jakto, czyliż nie zauważyliście panowie jeszcze jednego, najpierwszego strzału? — zapytał — czyliż sądzicie że ja i ten pan oto powstałibyśmy z pod łap niedźwiedźcy, gdy nam swiom zwyczajem zabębniła po głowach, gdyby na mgnienie oka wprzód, nie otrzymała ona już śmiertelnego strzału, który obezwładnił jęj ciosy?... a przecież i tak upadliśmy pod nimi!...

I góral wskazał przesyta kulą czaszkę niedźwiedźcy, i Szandora nabijającego broń z pośpiechem: panowie spojrzeli po sobie.

— Petöfi, czy pozwolisz się uściskać i o przebaczenie prosić za *tamte* moje słowa?... — spytał oficerek, który przed chwilą tak z pańska przemawiał do żołnierza.

— Teraz dopiero widzimy że winniśmy ci życie — mówił drugi i wszyscy ściskali go serdecznie.

— Panowie muszą być z miasta, a tamten z lasów lub puszt, lepiej zna się ze zwierzem wszelakiem — mówił góral z uśmiechem. — A teraz w drogę czas!

Przyłożył ręce do ust i przeciągłe wywoływał hasła, aż przyszło kilku górali, obładowanych skórami wilków, któremi właśnie byli niezbyt daleko zajęci.

— O!... i ta stara niedźwiedzica padła z potomstwem oprócz wilków!... no, z łaski panów będą mieć spokój nasze stada do czasu! — cieszyli się górale.

— E, przecież niedźwiedzica nie chwyciła wam stada?... niedźwiedź nie jest mięsożerny!

— Oj oj i jak jeszcze, zwłaszcza gdy mu głód dokuczy!

— Hm!... — dziwili się panowie znajdujący niedźwiedzica z książki — a co zrobisz z niedźwiedziami Petöfi? twoje są!

— Róbcie z niemi co chcecie; nie mam komu podarku z nich robić — westchnął.

— No to zabierzcie je i dostawcie do naszego gospodarza pana Vallosy, wiecie, tu w najbliższym dworcu, gdzie się to w okolicy winobranie odbywa, a nas aż z Szopronia na to winobranie gościnny gospodarz zaprosił, oddajcie mu niedźwiedzice w podarku od pana Petöfi. My tam podążymy zaraz, jeżeli jak mówicie, więcej wilków w okolicy niema. Tylko, możeby i parę kóz można gospodarzowi upolować na pieczeń?

— Ha, czemu nie; ale zapolujemy po pańsku nie po naszymu, kiedy jest panów kilku... chodźmy tedy! A wy z niedźwiedziami w swojej drogę w dół! — Rozdzielono się znowu, większa część górali poszła w dół, wlokąc na gałęziach niedźwiedzice, panowie zaś z trzema góralami ruszyli w górę.

— Jakże to poluje się po waszemu?

— E, to my tak najczęściej wychodzimy pojedynczo w góry, wzięwszy w torbę żywności na dni kilka. Przyczaić się trzeba na przesmyku gdzie zwierzęta chodzą i czekać; kto świadomy kozich zwyczajów nie czeka długo. Koza ukaże się gdziekolwiek, czasem w przepaści pod stopami, wtedy trzeba się położyć na skale, wychylić w przepaść, zmierzyć i strzelić... a już kulą, nieinaczej.

— To trochę trudno tak polować?

— Najgorzej jak mgła zaskoczy, a taka bywa gęsta że własnych nóg nie widzisz... wtedy to już koniecznie usiądź

w miejscu i siedź, kilkanaście godzin niekiedy, bo się ani ruszyć nie można, póki nie ustąpi.

Rozmawiając, strzelcy wyszli z lasu. Przedzierając się z trudem pośród skał, ponad samą przepaścią na tysiąc stóp głęboką, dosięgli wkrótce jednego ze szczytów. W oddali czerniały lesiste wzgórza, z przeciwniej strony jaśniał nierówny grzebień wierzchołków, w około szumiały bystre potoki, poniżej błyszczały jeziora wśród gór.

— Petöfi! smutniejszy jesteś niż kiedykolwiek, co tobie? Czyżby przypadkiem moja poprzednia niedorzeczność tak cię dotknęła, o wrażliwy i drażliwy poeto? Pomyśl, że podobne dowody wykwintnej uprzejmości, ubliżają tylko tym, którzy je składają, i zapomnij! — prosił młody oficer.

— Dzieciństwo; zapomniałem dawno — odparł żołnierz, ściskając podaną rękę. — Sam nie wiem co mi jest; przypuszczam że te góry potęgują we mnie wieczną tęsknotę za równiną.

— Tak, a my gwałtem namówiliśmy cię do tej wycieczki, aby cię rozerwać. Otóż wynaleźliśmy lekarstwo gorsze od choroby.

— Nie; bądź pewien że tylko wasza niezasłużona przyjaźń i względy dla niższego, powstrzymują mnie, od mimowolnej rozpacz.

— Niższego... stopniem!... Twoje ukształcenie i umysłowe zdolności wyżej cię daleko od nas wszystkich stawiają. Dla tego powiem ci że poprostu boli mnie gdy widzę, jak odmiatasz śnieg w koszarach i t. p. pełnisz posługi!

— E, to dzieciństwo!

— A zresztą — dodał inny oficer słysząc rozmowę — kto wie czy ten stan stałego przygnębienia w jakim się znajdujesz, nie jest prostym skutkiem zbytnej pracy, przepracowania się, jak lud nazywa. Bo też, przyznam się, dla obarczonego pracą żołnierza uczęszczać jeszcze w wolnych godzinach na kursa do liceum i odpowiednio odbywać studia... to trochę za wiele...

— Wcale nie; owszem, wszakże na tych kursach poznałem się z Wojciechem Pakhem redaktorem *Pesti hírap*, który teraz drukuje niektóre moje pieśni... Przeciwnie, pośród was jest mi tak dobrze, że z przestrachem myślę o wysłaniu pułku do Kroacyi... tam nie znajdę ludzi takich jak wy...

— To my się postaramy, użyjemy wpływów i stosunków aby zostawiono cię z nami! Tylko nie poddawaj się tej jakiejś niepojętej rozpacz, jeżeli to tylko istotnie nie najprostsza tęsknota za rodzinnym stepem, gnębi cię wśród tych pysznych Karpat... jakkolwiek jeśli komu to właśnie tobie one serceby wzruszyć powinny: popatrz na nie! przemów do nich!

Wszyscy przystanęli, Petöfi potrząsnął głową i mówi zwolna:

— Pyszne Karpaty w koronie świerkowej,

Wasze uroki serca mi nie wzruszą,

W strome urwiska, w cieniste parowy,

Nigdy marzącą nie zabłąkam duszą.

Milsza mi stepu przestrzeń niezmiernona,

Step mi rodzicem nie oddan go za nic,

Jak orzeł z gniazda rwie się serce z łona

Patrząc w widnokrąg bez brzegu, bez granic.

Duch mój na skrzydłach leci ztąd w obłoki,

Obszar mu ziemski już starczyć nie może,

A step się do mnie uśmiecha szeroki,

Od brzegów Cisy po Dunaju łoże.

Tam Delibaba w rąbek tęcz spowita

Przepływa górą... tam na bujnej trawie

Olbrzymie woły pasą się do syta,

A nad studniami w krąg sterczą zórawie...

— Co znowu! — zawołał oficer chwytając w ramion żołnierza, któremu rzęsiście lzy po licu spływały — ty, którego dopiero co widzieliśmy w zapasach z niedźwiedziami, ty płaczesz? Wstydz się. Albo raczej nie, nie wstydz się, ty! zwierż się nam, musi tam być na dnie twój duszy ciężka jaka rana bezustannie krwawiąca, ale czyliż szczerza przyjaźń mi łaby wobec niej być bezsilną?...

— A więc tak — szepnął poeta wspierając czoło na ramieniu przyjaciela — ale nie teraz czas o tem mówić, bo oto...

— Teraz tedy, rozejdziecie się panowie na stanowiska — rzekł stary góral.

— Ale opowiesz przy pierwszym spoczynku, pamiętaj! — wołano.

— Dobrze, przy ognisku, o północy, bo to niezmiernie romantyczna historia z cygankami, z przepowiedniami... — uśmiechając się smutno mówił Petőfi.

— Och!... przepadam za tem! — westchnął najmłodszy z oficerów — pamiętaj!

— Panów porozstawiam na wiadomych mi przesmykach, u brzegu góry — objaśniał góral — a sam pójdę wierchami i spuszczać będę kamienie jeden za drugim; spadzisto tu bardzo, kamień każdy stoczy się aż do dna przepaści* i popłoszy kozy; spłoszone uciekać będą, tedy ino patrzeć należy i strzelać!

Plan zdawał się niezmiernie pierwotny, niemniej okazał się skutecznym. O zmierzchu strzelcy siedzieli już w zaciśniętej dolinie, przy dobrem wesołym ognisku, a dwie przepyszne kozy wisały na najbliższej gałęzi.

— No, opowiadaj teraz tajemnice twoje — nalegali oficerowie — chyba że to odnowi twą boleść?... w takim razie przebacz że cię nudzimy...

— Nie mam właściwie tajemnicy, to, co opowiedzieć mogę o sobie, to jest raczej sam tylko ból, niezrozumiały dla mnie samego, i nic więcej — półgłosem smutno rzekł Petőfi. — Byłem jeszcze malcem i żyłem pełnią szczęścia, bo nie brakło mi nawet świadomości tego szczęścia, czego dzieciom zwykle brakuje, gdy wtem raz cyganka znajoma wróży mi miała. Pamiętam że rozkazała mi improwizować i musiałem, choćbym był nie chciał, pod ognistym spojrzeniem jej czarnych oczu. Wzruszenie jakie opanowało mnie w owej chwili, odjęło mi częściowo przytomność... nie wiem czemu wtedy gniewem szalonym zapłonęły oczy cyganki, pamiętam tylko wzniesioną jej nademną jakby rzucającą przekleństwa rękę, chudą, niby że tajemniczy jakiś wpływ cięży nademną. Bóg widzi jak serdecznie kocham ojca i matkę, życie oddałbym za nich z pewnością, a jednak nie mogę się zdobyć na długoletnie ślęczenie w papierach w kierunku jaki mi narzucają; a przecież nauka w ogóle także jest mi pożądaną i miłą. Ile razy zaś w niedługim dotąd mem życiu ma nastąpić zwrot szczęśliwy, ile razy okoliczności usposobią mię do poddania się wymaganiom ojca, coby mi z pewnością przywróciło chwilę dawnego w dzieciństwie szczęścia, zawsze spotkać muszę na mojej drodze też samą chudą, w czerwonej płachcie cygankę, jakby przepowiednię niedoli. I natychmiast uległość moja znika, a los nieszczęsny, przeciw mej własnej woli, unosi mię dalej niż kiedykolwiek z prostej drogi życia, na której jedynie mógłbym szczęście znaleźć, dając niem wzajem starych rodziców. Opowiadałem wam już w jakich okolicznościach uciekleś ze szkół, otóż koń w rodzinnej mej wychowany puszczie i własne serce unosiły mię wówczas prosto w rodzinne strony. Wątpliwości nie ulega, że gdyby nie zaszyły postronne wpływy, byłbym wprzód padł ojcu do nóg, zanimbym oprzytomniał w szale mej ucieczki, a rodzice przytuliliby mię, bo właściwie nie było jeszcze winy we mnie. Ale cyganka w czerwonej płachcie zjawiała mi się przed koniem, jakby z ziemi wyrosła, obudziła we mnie rozważę, namysł i wspomnienie domowej karności, i... mimo własnej wiedzy i woli sama moja ręka, zwróciła mi konia w bok, z prostej ścieżki żywota. Jednakże chwiała się jeszcze losy moje; byłem w pobliżu chaty rodzinnej, czułem dym jej ogniska, w chwilę później znalazłem się wśród rozumnych starszych przyjaciół, dzielny pasterz pojmując doskonale moje położenie, byłby, jak sam to wyznał, uspokoiwszy chorego i wzburzonego dzieciaka, oddał go kochającym rodzicom, i znowu schroniłbym się przy ich sercu i szczęście odnalazł. Ale oto zjawia się natychmiast cyganka w czerwonej płachcie, oznajmiając że ojciec mój znaczną za odnalezienie mię ogłosił nagrodę... więc dumny pasterz sam coprędzej odprowadza mię z rodzinnych stron dalej w świat, aby ojciec choćby przypadkiem nie

znalazł mię u niego, a hańba zdrady za pieniądze nie zawisła nad mianem Pal'a czikosa... Natenczas stanąłem już na zupełnie fałszywej drodze, ale szedłem nią dalej, tak jak kamień ten puszczonej z wierchołka góry, toczy się w dół po jej pochyłości. Miłość rodzicielska próbowała mię przeciw jeszcze raz ocalić, gwałtem zabierając pod własne skrzydła. Znalazłem się znowu w domu i wpływ rodzinnego ogniska, z trudnością a powoli, zaczął mi już naprawdę uspokajać wzburzonego i starganego ducha, rozgrzewać zziębłą wśród nędzy i przy cudzych ludziach krew. Jak na piętnastoletniego wątpliwego wyrostka, zniósłem już sporo zimna i głodu, wylałem dosyć łez; byłem stanowczo zdecydowany pójść nakazaną mi, troskliwie przygotowaną przez rodziców drogą, którą niechybnie mógłbym przejść życie wygodnie i użytecznie. Byłem tem uległy i posłuszny więcej, że lepij niż dawniej rozumiałem znaczne cele i powody narzucanej mi despotycznie na pozór woli. I oto w tej chwili przełomu, mającego stanowczo i ostatecznie postanowić o moim losie, staje jeszcze raz przedemną cyganka w czerwonej płachcie, i rzuca mi w oczy i w serce tak piekielne szyderstwo, że od niego jak koń od dotknięcia rozpalonem żelazem, nieledwie oszalałem odrazu... Były to wszystko w gruncie rzeczy dzieciństwa, ale też cyganka dobrze znała piętnastoletnie dziecinne serce. Gdybym był choć trochę starszy, choć tak jak dziś jestem, byłbym stosownie do chwilowego usposobienia rozśmiał się jej w oczy, albo powiedział: *retro satanas!* precz odemnie szatanie, który jad twój złości w serce niewinne zaszczepiasz. Niestety! byłem na to za młody i nazbyt po dziecinnemu a gorąco brałem rzeczy. I oto teraz jestem winniejszemu niż kiedykolwiek. Oddany do liceum w celu kształcenia się na prawnika, zaciągnąłem się do wojska... Bitwa w której postanowiłem od razu wyjść na bohatera lub zginąć śmiercią szlachetnych, nie nadchodzi, a ja teraz poprostu oszukuję rodziców, którzy mniemają że uczę się w liceum... To już jest niktzemne! Powiedziałem wam wszystko, a gdybyście nie chcieli podać mi ręki po *tem ostatnim* wyznaniu nie dziwiłbym się wcale.

— I może należałoby tak zrobić... gdybyś sam nie uznawał twój winy — rzekł po chwili milczenia najstarszy ze słuchaczy, ściskając mu rękę serdecznie. — Jak sądzisz... gdybym ja też obecnie poparty przez kolegów uczynił to, co niezbyt dawno zamierzał przeciwki czikos Pal uczynić... gdybym poprostu opowiedział twym rodzicom ten proces duchowy, skutkiem którego dopuściłeś się ostatniego i nigrubszego błędu, pod wpływem tej jakiejś tajemniczej cyganki, mającej może istotnie jakiś skryty cel i przyczynę działania, np. złość do twój rodziny, lub też... może wpływ jej jest wytworem bujnej wyobraźni... trzebaż pamiętać że poetą rzeczywistym jesteś!

— Ależ ta cyganka także rzeczywiście istnieje! — zawołał najmłodszy oficer.

— Może istnieje wybornie, a mimo to nie mieć nic wspólnego z nieszczęsnymi kolizjami młodocianego życia, szarpanej i unoszonej z wytkniętej drogi, jedynie własnego ducha rozterką. Cyganka włóczy się bezustannie w rodzinnych stronach Petőfi, więc zjawia się przed nim niekiedy, że jest złośliwą, zjadliwą, i szyderczą, to właściwość jej plemienia; resztę wymarzyć już mogła bujna i rozigrana wyobraźnia. A zatem, Petőfi, czy upoważniasz mię do pomówienia z twym ojcem?

— Nie, drogi przyjacielu!... chociaż serdecznie poproszę cię o to, jeżeli kiedy stosownej doczekam chwili. Ojciec mój jest gwałtowny, jak tylko syn, stepu gwałtownym być może. Gniew każdy, dopóki on go sam w sobie siłą woli nie przetrawi, wzburza go do uniesienia. Matka sama nawet ostrzegała mię i usuwała mu z oczu w takich chwilach, lękając się wywołać słowa, którego może oba... nie przeżylibyśmy...

— A tymczasem?... nie zapominaj że rodzice nie znając pobudek twego postępowania, sądzą cię prawdopodobnie fałszywie.

Zmarnowane bohaterstwo.



Do morza Czarnego od Bałtyku, od Wołgi do Elby i dalej jeszcze poza Bałtyk, bo aż do Szwecyi, po za Elbę, bo do państw zachodnich Europy, dobiegało imię Karola XII-go króla Szwecyi, bohatera *wojny północnej*, która r. 1699 zakłóciła pokój Szwedów, Rossyan, Sasów, Duńczyków i Polaków. Od Bałtyku do morza Czarnego, od Wołgi do Elby i dalej jeszcze za Bałtyk, za Elbę, dobiegła sława zwycięstw, jakie odniósł siedemnastoletni król i wódz pod Narwą, w Inflantach pod Kliszewem i w innych miejscach, nad sprzymierzonymi przeciw niemu mocarstwami.

Cuda rozpowiadano o waleczności młodego bohatera: jak wytrwale znosi trudy obozowe, jak je dzieli z żołnierzami swymi, jak sam idzie zawsze na czele zbrojnych zastępów na nieprzy-

jaciela. Wśród wrogów i wśród obojętnych w tej wojnie dla Szwecyi, imię Karola XII-go budziło uwielbienie, Lwem niezwalczonym go nazywano. Lecz szczęście bywa niestałym, niedarmo pogańscy Grecy fortunę pod postacią niewiasty na kole jadącej wyobrażali sobie, dziś do tego zawita ona, jutro do innego odbiegnie... Doświadczył Karol XII-ty zmienności szczęścia: po zwycięstwach, jakie odniósł nad wrogami, doznał następnie klęski: krwawa bitwa, jaką r. 1709 stoczył pod Połtawą, wieńca sławy mu nie powiększyła, lecz takie było dlań uwielbienie, że mimo przegranej, imię jego zawsze z szacunkiem wymawiane było. Zgromiony, rozbity przez Piotra Wielkiego, Karol XII-ty schronił się do Turcyi, gdzie sława zwycięstw poprzednich dawno już dobiegła. Achmet III-ci panował wówczas w Turcyi, on również przejęty był czcią dla walecznego króla Szwedów, a klęska jaką poniósł pod Połtawą nie osłabiała w nim tego uczucia. Dowiedziawszy się iż król bohater pokonany, na jego ziemi przytułku szukał, wysłał naprzeciw niego baszów i janczarów i poprowadził go kazał wspinać do Benderu miasta wznoszącego się wśród stepów Besarabii; tam otoczony honorami jakie królowi się należały, miał czekać Karol XII-ty chwili sposobnej, by pomścić zniewagę doznałą pod Połtawą.

I ciche rozkoszne wiódł życie, pobity bohater wśród zielonych równin Besarabii, leczyl się powoli z ran, jakie otrzymał w ostatniej bitwie i snuł plany na przyszłość, nie wątpił bowiem, że imię jego znowu przeleci od morza Czarnego do Bałtyku, od Wołgi do Elby i dalej, o wiele dalej jeszcze usta ludzkie je poniosą, głosząc świeżą jego sławę. Turcy, przydani mu przez sułtana, by straż honorową pełnili, Szwedzi, co z nim razem uszli z życiem z pod Połtawy, służyli mu wiernie, spełniali każdy jego rozkaz, zabawiali go w samotności, jedni grali z nim w szachy, inni czytali mu głośno lub wspominali boje stoczone i dnie płynęły dobrze w Benderze Karolowi, rany powoli się zagoiły, mógł marzyć znowu o bojach. Lecz kiedy dnia jednego wezwawszy oficerów, począł układać z nimi plan bitew, jakie zamierzał stoczyć, dano mu znać, że trzech baszów od sułtana z Konstantynopola wysłanych, pragnie z nim mówić. Karol kazał ich przyprowadzić do siebie, baszowie stanęli przed nim pokorni, ręce na piersiach złożonywszy, pokłonili mu się nisko.

— Czego chcecie? — zapytał ich Karol.

— Pan nasz, wielki sułtan Achmet, najpotężniejszy ze wszystkich władców, kazał ci rzec królu, abyś państwo jego opuścił, wrócił do Szwecyi i o bojach przestał myśleć, bo on ci pomocy nie będzie mógł dać i gościem nie może cię mieć dłużej — rzekli posłowie.

Poblądł z gniewu Karol.

— Wypędza mnie wasz sułtan — krzyknął — lecz ja wypędzić się nie dam, ustąpię z Turcyi, gdy mi się podoba...

Baszowie pokorny ukłon złożyli.

— Wielki sułtan Achmet najpotężniejszy ze wszystkich władców — poczęli — czi i szanuje walecznego króla Szwedów i tylko zmuszony koniecznością gościny mu wymawia; na dowód, że jego przyjaźń się nie zmieniła dla ciebie królu, przesyła ci dar hojny, na dziedzińcu twego domu pięć dzielnych rumaków rzy i bije kopytami w ziemię, na nich lśnią zasiane drogiem kamieniami czapraki, oby rumaki te szczęśliwie dowiodły cię do kraju twego.

— Wyjadę z Turcyi, gdy podobać mi się będzie — odparł Karol stanowczo — co do koni, powiedzcie sułtanowi, że dary tylko od przyjaciół przyjmuje, a sułtan przestał być mym przyjacielem.

— Zasmuci ta odpowiedź wielkiego sułtana, gdyż chciał zgody, nie wojny — rzekli baszowie i skłoniwszy głowę na znak pożegnania oddalili się.

Domyślił się Karol XII-ty po tej odpowiedzi, że sułtan który z carem Piotrem Wielkim zawarł przyjaźń, przemocą będzie chciał go wyprzeć ze swego państwa, postanowił przeto przygotować się do oporu i kazał dom, jaki zajmował, do obrony przygotować, otoczyć wałem, broń i działa zebrać, ustawić. Zaledwie skończył przygotowania, zjawili się Turcy uzbrojeni, otoczyli dom i szturm przypuścili, walka zawrzała, strzały zawarczały, krew płynąć poczęła. Dzielnie z garstką wiernych mu Szwedów opierał się Karol, widząc Turcy, iż nie tak łatwo obalą ściany domu, postanowili ogień podłożyć, rzucili na dach ogniste pociski i w jednej chwili płomień ogarnęły budynek, dłużej pozostawać w nim nie mógł Karol, dobył przeto szpadę z pochwy, zwrócił się do Szwedów otaczających go i rzekł:

— Rzuciny się na nich, zginiemy wszyscy, lecz nie poddamy się.

Obecny tej scenie kapelan Karola XII-go, siwy już starzec, zbliżył się do niego.

— Królu odezwał się błagalnym głosem, nie narażaj życia twego i tylu innych, nie do ciebie ono należy, ale do Boga. Bohaterstwo twe bohaterstwem nie jest w tej chwili, lecz uporem, bo śmierci dla sławy tylko dobrowolnie poniesionej bohaterstwem nazywać się nie godzi; zginiesz marnie, a gdy Bóg się zapyta, dla czegoś życie oddałeś, cóż odpowiesz?

Lecz Karol XII-ty usunął starca.

— Kto tehrzem jest — rzekł, kto śmierci się boi, niech idzie do sułtana niechaj bije mu pokłony, ja wolnym chcę umierać.

To powiedziawszy, zbliżył się do jednego z okien, pechnął je silnie, okno z hałasem wypadło i wyskoczył przez nie, a za nim jego żołnierz, żaden nie pozostał.

Spostrzegłszy biegnącego ku nim Karola z garstką ludzi za sobą, Turcy zdumieli i w pierwszej chwili zawahali się, co czynić: ich było setki, Karol miał tylko 60 żołnierzy, walka z taką garstką śmieszna i nieuczciwa była; lecz Karol wyprowadził ich z wahania, bo pierwszy strzelił z pistoletu jaki trzymał w rękę i powalił na ziemię jednego z Turków; czyn ten pobudził mużulmanów do zemsty, zawrzała walka na miecze. Garstka była Szwedów lecz dzielnie się bronili, pięć razy odparli Turków, a coraz w szczuplejszej liczbie, nakoniec kilku ich tylko zaledwie zostało, wtedy Turcy odcięli ich od króla i ciasnym kołem otoczywszy Karola, wyciągnęli ku niemu dłonie, by go wiaść do niewoli. Widząc, co mu grozi, Karol bronić się chciał i wznosił szablę w górę, by nacierającym cios zadać, wtem potknął się o leżącego na ziemi zabitego towarzysza, stracił równowagę i padł.



Kuna czatująca na zdobycz.

— Alla! Alla! — wyrwało się z ust Turków na znak radości, cisnęli się na leżącego i pojмали go, a lękając się, by im nie uszedł, zanieśli go na własnych ramionach do namiotu baszy Benderu i postawili przed nim, rzekli:

— Oddajemy ci wielki baszo Lwa północy, pojmalıśmy go żywcem.

— Niechaj Przedwieczny będzie pochwalony za to, że cię królu od śmierci ustrzegł — odparł powolnym tonem basza. — Heroiczna twoja obrona w młodych wzbudzi może podziwienie, ale nie w starcach... Życie to skarb wielki dany od Boga, marnować go nie wolno, bo na to danem nam ono zostało, byśmy je użytecznie pędzili, dla dobra bliźnich je poświęcali...

Zginąć w obronie sprawiedliwości chwala; lecz zginąć dla częściej sławy to grzech... Wracaj królu do Szwecji, naród bez pana, to jak dzieci bez matki, potrzebny teraz jesteś, pożytecznym będziesz.

Tak dwóch starców, lubo wyznaniem się różniących, jeden sąd wydali o oporze Karola XII-go.

Król Szwedów wysłuchał w milczeniu baszę, nie pokazał, że go obraziły te słowa, a czynem dał dowód, iż uznał ich słuszność, gdyż opuścił Turcję i do Szwecji pośpieszył.

Teresa Jadwiga.

KUNA.

Kuna jest zwierzęciem naszych krajów. A chociaż nie każdemu zdarzyło się ją spotkać, bo się kryje przed ludźmi, to jednak każdy widział jęj piękne futerko, tumakami zwane. Poznać kunę bardzo łatwo, po jęj wydłużonym kształcie (półtory stopy) długim puszystym ogonie i krótkich nogach. Głowę i uszy ma zaokrąglone, a pyszczek także wydłużony. Futro jęj ciemno brunatne bywa dwojakiiego rodzaju. Ciemniejsze droższe i piękniejsze, podobne do futra soboli, pochodzi od kuny zwanej „borową” i jaśniejsze zaś od spodu białawe od drugiego rodzaju, nazwanego „kamionką”. Kuny przebywają zwykle w lasach, gnieźdzą się wszakże niekiedy i w pobliżu mieszkań ludzkich. Nie budują sobie schronienia jak inne zwierzęta, tylko szukają gniazd gotowych. Najczęściej zabierają je wiewiórkom w dziupli drzewa. Wypędzają wtedy właścicielkę i zamieszkują jak własną, jęj siedzibę.

W ogóle można powiedzieć o kunie, że jest postrachem zarówno wsi jak i lasu.

Wytępia niezliczone mnóstwo ptaków, także myszy i szczury, nawet do drobiu się zakrada i dusi nielitościwie kury, geśi, kaczki, gołębie i t. p. Nie jest ona tyle żarłoczną ile krwi chciwą, tępi bowiem więcej niż zjeść może. Mięso zjada tylko wtedy, kiedy jest bardzo głodna, a zwykle ofiarom mózg wyjada i krew wysysa.

Przytem jest tak drapieżną, że rzuca się nawet na osobniki swego rodzaju słabsze od siebie i dusi je także.

Niebezpieczniejszą jest od innych zwierząt i dla tego że doskonale pnie się po drzewach, czepiając się ostremi pazurami i skradając pocichutku. Czasem parę godzin wyczekuje, nim przyjdzie właściwa chwila rzucenia się na zdobycz.

Najstraszniejszym nieprzyjacielem kuny jest myśliwy, polujący na jęj piękne i lekkie, a przeto kosztowne futro.

Do pokrewieństwa kuny można zaliczyć, tchórza, sobola, wydrę, gronostaja i inne.

Wszystkie one należą do drapieżnych, mięsożernych zwierząt, znajdując się w krajach północnych i umiarkowanych.

Marya Weryho.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Cóż tam takiego? on nie zwykł bać się wody! — mówił Tomek. Nowy przewodnik patrzył uważnie na psa, powtarzając wyraz, którego nikt nie rozumiał i wskazując palcem na potok.

— Czyby tam były kaimany? krokodyle? — spytał go kapitan.

— Nie, nie — odrzekł wstrząsając głową i powtórzył wyraz poprzednio wymawiany.

— Ruszajmy dalej — powiedział Melchior, wyrzekając się go zrozumieć i wchodząc na most z lianów, a Dabby prowadził muła brodem. — Gdy Kasztan zobaczy nas na drugiej stronie, zdecyduje się i on przebyć potok.

Wistocie, gdy Melchior miał już zniknąć za skałą na zakręcie drogi, pies się zdecydował. Wszedł w wodę i płynął dzielnie, ale wyjąc przytem boleśnie.

— Biedne zwierzę! — zawołał Tomek, pozostawszy trochę z tyłu, aby czuwać nad swym czworonożnym przyjacielem przy jego wyjściu z wody, nic dziwnego, że nie chciał wejść, patrz wuju jaki ma naszyjnik!

Wszystko się wtedy wyjaśniło: całe gardło Kasztana pokryte było pijawkami, bardzo krótkimi, ale grubymi jak palec. Tomek coprędzej uwolnił od tęg męczarni swego wiernego towarzysza.

We dwa tygodnie potem, wędrowcy dotarli do stóp An-

dów, które jak wiadomo przeryniają Amerykę Południową i łączą się z Kordylierami Ameryki północnej przez między morze Panama. Rozbili namiot na wybrzeżu małego jeziora górskiego. Noc była spokojna, nie było ani chmurki na niebie, a gdy księżyc zeszedł, zarysy małego jeziora odznaczyły się wyraźnie.

Gdy nazajutrz udano się w dalszą drogę, Melchior zwrócił uwagę wszystkich okrzykiem: Lamy! lamy!!

— Tak lamy dzikie — rzekł kapitan, może uda się nam złowić kilka żywcem, bo te zwierzęta nie są zbyt dzikie i pozwalają łatwo zbliżyć się do siebie.

Rozpoczęto zatem polowanie, kryjąc się za każdym krzakiem, za każdą kępą drzew. Zwierzęta wyraźnie nie a nic się nie bały, jednakże Tomek źle stąpiwszy osunął kamień, który spadł na dół z hałasem stokroć powtórzonym przez echa. To starczyło aby przestraszyć całą trzodę. Lamy popatrzwszy chwilę naokoło uciekły o jakie pięćdziesiąt kroków i zatrzymały się znowu, spoglądając poza siebie.

— Pogonię za nimi — mówił Mathias.

— Chyba że kapitan ma bardzo dobrego konia! — rzekł Menito.

— Konia? czyś oszalał? — rzekł Dabby. Kiedyż to widziałeś konia, któryby w biegu dorównywał lamie?

— To prawda, że lamy mają dobre nogi — odparł Mathias — ale jest między nimi jedna młoda, a więc chcę spróbować...

Mówiąc to skoczył naprzód. Lamy znowu wzięły nogi za pas, ale młoda znajdująca się między nimi nie była w stanie dotrzymać im kroku, pozostała więc w tyle, zarówno jak jęj matka, która nie chciała jęj pozostawić. Zmieniła zamian jednakże, widząc że kapitan pędził do nięj konno. Przerazona uciekła, pozostawiając małą jęj przeznaczeniu.

Widząc że nie może uciec, młoda lama wśliznęła się w krzaki sąsiedne i ukryła w nich w przekonaniu, że myśliwy przejedzie i jęj nie zobaczy. Jednakże nadzieja ją zawiodła, i w dziesięć minut później Indyanin powrócił do towarzyszy z ładną małą lamą, barwy daniela leżącą w poprzek siodła.

— Zupełnie jak mały wielbłąd bez garbu — rzekł Tomek, gdy postawiono zwierzę na nogach, wyjąwszy że jest lepiej zbudowane, ładniejsze i niema głupowatej miny wielbłąda.

W istocie są pewne podobieństwa między temi gatunkami zwierząt, i obydwaj oddają ważne przysługi człowiekowi. Jak pustynie afrykańskie byłyby nie do przebycia bez wielbłąda, tak samo Kordyliery w Andach byłyby niemieszkalne bez lamy. Krajowcy posługują się nimi jak domowemu zwierzętami. Używają ich mleka i strzygą wełnę. Podobnie jak wielbłąd, lama jest niezmiernie wstrzemięźliwą, zadawalnia się mehem i janowcem, którego szuka pod śniegiem. Zwierzę to przyswaja się łatwo i przywiązuje się do tych, którzy mają o niem staranie.

— Oj mój wuju zostaw mi tę lamę i pozwól ją wychować; będę miał o nięj największe staranie, upewniam cię — rzekł Tomek.

— I owszem, jeżeli potrafisz.

W pobliżu południowej granicy Nowej Grenady, pagórki które nastąpiły po górach, wyrównały się i zmieniły w rozległe błonia zasiane kępami drzew i obfitujące w zwierzybę. Myśliwi zabili kilka bażantów i kilka królików na żywność i zdobyli ptaka, jakiego nigdy jeszcze nie widzieli wprzódy. Miał on długie nogi i krótkie skrzydła jak młody indyk, ale był dziesięć razy większy. Po uważnem obejrzeniu, Melchior poznał w nim kazoara. Ptak ten bywa nazywany strusiem amerykańskim, jakkolwiek niema jego postawy, ale zawsze jest po nim największym ptakiem z rzędu. Pióra jego, zamiast być jak u strusia długie, miękkie giętkie i oblamowane puchem delikatnym i jedwabistym, są twarde i tak mało pierzaste, że wedle uwagi Tomka, podobne są raczej do sierści, niż do piór; mimo to, są bardzo poszukiwane do stroju.

Melchior oglądał jeszcze kazoara, którego schwytał, gdy cała gromada tychże ptaków ukazała się w odległości. Menito

i Kasztan skoczyli w pogoń za nimi; ale schwytać kazoara w biegu jest prawie takim samym niepodobieństwem, jak strusia.

O południu zatrzmiano się na spoczynek pod ogromnym bananem, który zarazem dawał posiłek i schronienie przed upałem. Jego liście, niektóre długie na dwa łokcie tworzyły przepyszny baldachim zielony, z którego wyglądały grona lub gałęzie obciążone owocem. Banany najczęściej jedzą się pieczone, ale na ten raz wyglądały tak zachwycająco, że Tomek oświadczył iż muszą być i na surowo doskonałe, i po doświadczeniu, na które on pierwszy się ofiarował, wszyscy przystali na jego zdanie.

Podczas gdy wędrowcy zajęci byli kosztowaniem owocu bananów, jakieś stłumione szeptanie dało się słyszeć nad ich głowami, i Melchior spostrzegł, że drzewo zawierało całą kolonię małp, które założyły swą kwaterę główną u samego wierzchołka.

— O, mój wuju! — szepnął Tomek do ucha kapitana — czy przypominasz sobie, żeś mi mówił iż małpy chwyta się podstępem? Gdybyśmy też spröbowali teraz? Wszak te jeszcze nas nie widziały?

— Tak, ale jakiegoż możemy użyć podstępu?

— Bibisia może nam posłużyć tak jak to już raz czyniła, gdy chodziło o małą zbiegłą małpkę.

— A więc poprobujmy.

Zatem Bibisię na długim sznurku uwiązaną puszczone na drzewo. Sznurek wkrótce się uplątał co było do przewidzenia; Bibisia czując, że dalej postąpić nie może zaczęła jęczeć i rozpaczać. Jej narzekania ściągnęły uwagę jej ziomków z góry drzewa. Jedna małpa zesłała niżej aż do miejsca z którego pochodziły skargi i zoczywszy nieznaną, rozpoczęła szczebiotać na gwałt po swojemu; natychmiast gromada towarzyszek przyłączyła się do niej, były to samce po większej części, bo samiczki, zwłaszcza mające małe, są bardzo ostrożne i nie łatwo się narażają, zaraz też wszystkie uciekły na sam szczyt drzewa, chroniąc się przed niebezpieczeństwem, jakie przeczuwały.

Nagle okrzyk przerażenia dał się słyszeć nad głowami podróżnych, i małpy otaczające Bibisię znikły w mgnieniu oka. Chcąc wiedzieć, co się dzieje, Melchior z towarzyszami wyszli ze swego schronienia, aby spojrzeć na drzewo. Ujrzeni wtedy orła, z gatunku tych samych, z jakim Menito miał już do czynienia, orła-harpie który, krążył nad drzewem, opisując wielkie koła. Nagle spadł na drzewo i porywając w szpony małpę, która nie zdążyła się sebronić, chciał ją unieść wraz z małpiątkiem które w rękach trzymała. Biedne stworzenie chwyciło się drzewa ze wszystkich sił, ale orzeł bił ją raz po raz skrzydłami i dziobem, aż musiała się puścić. Natenczas czując się zgubioną, ale chcąc przynajmniej ocalić swoje małe uczepione jej u szyi, zebrała wszystkie siły, oderwała je od siebie, rzuciła na drzewo, i dopiero poddała się swemu przeznaczeniu. Melchior rozczulony odwagą i poświęceniem biednego stworzenia, strzelił do orła, ale ten był już nazbyt daleko.

Miano nadzieję obiadować doskonale dnia tego, bo nie mówiąc już o owocach rosnących wszędzie w obfitości, Melchior upolował kilka bażantów i królików, a nadto znaleziono doskonale kartofle, które pozostawało tylko upiec. Postanowiono zatrzymać się przy źródle wytryskującym w głębi parowu.

W głębi tego rozdołu, była łączka, tak bujna i zielona, że Czarnulo zdaleka zarżał radośnie na ten widok. Wrzaski mnóstwa wron, zamieszkujących szczyty drzew odpowiedziały mu, a niektóre zleciawszy ku podróżnym krążyły jakiś czas koło nich przypatrując się, a potem uciekły, opowiadać drugim co widziały.

— Mój wuju, pozwól i mnie wystrzelić! — prosił Tomek.

— Idź ale spiesz się — odparł kapitan. — Obiad za chwilę będzie gotów.

Tymczasem Menito poprowadził muła pić, i tak wychwalał przejrzystość i chłód wody u źródła, że Melchior wzięwszy wiaderko powrócił tam z nim po wodę.

Szli rozdołem już od dziesięciu minut prawie, gdy nagle

Menito uchwycił rękę towarzysza. Instynktowo prawie, w tejże chwili oczy kapitana spotkały się z oczami zwierzęcia przy czajonego za drzewem, o piętnaście kroków mniej więcej od miejsca, w którym się znajdowali. Była to pantera.

Żywo położył rękę na ustach Menita, aby mu nakazać spokój i milczenie. Najmniejszy szmer lub poruszenie mogło rzeczywście ich zgubić, bo pantera skoczyłaby na nich. Mały Meksykanin stał jak posąg kamienny.

Położenie było groźne: przez gałęzie i liście, pomimo cieni w wąwozie, łatwo było widzieć, że zwierzę gotowe było do czynu, cał za całem postępowalo, zbliżając się i spuszcżając głowę coraz bardziej aby łatwiej się rzucić. Melchior potrafił bez widocznego poruszenia wydobyć nóż i przygotowywał się drogo sprzedać życie.

Wtem odgłos wystrzału wstrząsnął powietrzem: jednym skokiem pantera przesadziła rzekę, a za drugim znikła im z oczu.

Wystrzał Tomka, skierowany ku wronom, sprawił ten niespodziany skutek, ocalił Melchiora i jego towarzysza z najgroźniejszego niebezpieczeństwa, w jakim znaleźli się kiedykolwiek od początku podróży. Kapitan odetchnął jakby mu ciężar spadł z piersi, a rzucając okiem na Menita, który go ciągle ścisnął za rękę, ujrzał lica chłopczyń zalane łzami. Biedne dziecko, jakkolwiek było uosobioną odwagą, nie mogło na ten raz zapanować nad swemi nerwami. Prędko wrócił do siebie, i uczył gwałtowne pragnienie zemsty nad zwierzęciem, które było przyczyną jego chwilowej słabości.

— Ta pantera ma prawdopodobnie legowisko swoje w wąwozie — rzekł do Melchiora — szukajmy, zabierzemy małe jeżeli są, a potem wrócimy zabić ją strzelbą pana.

Ale napróżno dla przyjemności dziecka i w nadziei powiększenia swych zbiorów Melchior uczynił o co go proszono. Nie znaleźli ani śladu pantery, i musieli wrócić do towarzyszy z próżnemi rękami.

— Mniejsza o to — rzekł Menito ze zwykłym wesołym niedbalstwem — ta mała przechadzka doda nam apetytu na obiad.

Nieszczęściem jednakże, był to dzień niespodzianek i to niespodzianek niemiłych. Gdy wrócili do swego tymczasowego obozowiska, Dabby Simon oznajmił im, zafrasowany okrutnie że obiad przepadł; króliki bażanty, kartofle, prócz tego kawał słoniny ośmioletowy, nic nie pozostało. Kradzież tę popełniono podczas gdy Dabby poszedł do źródła, aby poznywać talerze i półmiski cynowe, stanowiące cały zasób naczyń stołowych podróżnych. Podejrzenia mogły spaść tylko na nowo przyjętego przewodnika Józefa, ale ten odpierał je tak energicznie przekonując o swęj niewinności, że Melchior nie wiedział co o ten myśleć. Dabby Simon przecież nie wątpił wcale o jego winie, choć przyznawał że trzeba mieć apetyt nie do uwierzenia, apetyt dzikiego zwierzęcia, aby mózż pochłonać taką znaczną ilość żywności w tak krótkim czasie.

— To pewno pantera pożarła — powiedział Józef, usłyszawszy o spotkaniu z panterą. — Pantery niezmiernie lubią króliki i bażanty, a co do słoniny to mogłyby zjeść jej całą beczkę nienasyciwszy się.

— Aha aha, pantera — mruzczał stary Meksykanin. — No, ale cóż teraz jeść będziemy — dodał zwracając się do kapitana.

— Nic nam nie pomoże żałować tego co zostało skradzionem — odparł Melchior — szukajmy innych kartofli i upieczemy je. Nie pierwszy to ani ostatni raz będziemy mieć chudy obiad.

Była to wistocie najrozumniejsza rada, zabrano się więc do jej wypełnienia, ale zanim skończono skromny posiłek, było już późno. Zaledwie zdążono przed nocą zupełną dostać się do tego co Józef nazywał *castillo*, zamkiem. Była to mała stacya wojskowa, składająca się z opuszczonej chaty z modrzewiu, która mogła jeszcze na noc dać jaką taką ochronę wędrowcom. Dwaj przyjaciele, Tomek i Menito wyszukawszy i przyniósłszy kilka naręczy drzewa i suchych liści, rozpalili

w małym dziedzińcu ognisko, naokoło którego zasiedli wędrowcy.

Radziby byli po całym dniu podróży i trudów, spocząć spokojnie, ale całe niezliczone osady nietoperzy zamieszkałych w chacie nie pozwoliły im na to. Zaniepokojone ogniem i światłem, zaczęły latać nad głowami podróżnych, wrzeszcząc tak że mogłyby obudzić nawet twardo śpiących. Menito miał za to do nich żal tem większy, że go zbudziły ze snu najmilszego; śniło mu się że walczył na pięści z panterą i że jej nożem przebił gardło na wylot.

Inne głosy mieszając się przytem do wrzasków nietoperzy, mogły także wraz z wspomnieniami dnia ubiegłego, przyczynić się do wywołania w jego wyobraźni strasznych tych obrazów. Wilki czyli psy dzikie mające w długoletnim posiadaniu ten budynek, włóczyły się naokoło chaty wyjąc straszliwie, czem oczywiście wyrażały niezadowolenie i zdziwienie iż obcy przywłaszczyciele wtargnęli do ich posiadłości.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Oswojony puchacz. Puchacze w ogóle należą do ptaków drapieżnych i dzikich, bywają wszakże pomiędzy nimi takie, które się dają oswoić. Profesor A. Wrześniowski przytacza w tym przedmiocie ciekawe szczegóły w czasopiśmie Wszechświat. Powiada że u p. K. leśniczego w Orawicach widział wychowanego przez jego córkę od pisklęcia puchacza samca, nazwanego Kubą, który, doskonale znał swe imię, bo na zawołanie odpowiadał głośnym sapaniem. Nadzwyczaj lubił towarzystwo ludzi i znajdując się razem z nimi oznajmiał swe zadowolenie ciąglem sapaniem, które się znacznie wzmagało, gdy go po imieniu zawołano. Chętnie się tulił do człowieka i bardzo był rad głośkaniu po głowie i grzbiecie; brał palec w dziób, żuł bardzo delikatnie, nigdy bólu nie sprawiając i świergotał przytem jak mały ptaszek. „Bardzo lubił siadywać na kolanach, mówi pr. W a przenocowawszy w hotelu, w jednym pokoju ze mną i z moim synem, spostrzegłszy, że już nie śpimy, sfrunął z pieca i po kolei odwiedzał nas, upominając się świergotaniem o pieszczoły. Wolno puszczony nigdy nie uciekał, lecz powracał prosto do domu, a w polu prosto do człowieka. Razem z tym samcem wyjęto z gniazda drugie piskle samice; był to ptak nadzwyczaj dziki, złośliwy, niczem nieugłaskany, zawsze nadstawiający się szponami, czego samiec nigdy nie czynił.

Zdawało mi się, że obserwowanie tak dalece towarzyskiego i oswojonego puchacza bardzo byłoby ciekawe i nauczające, nabyłem więc opisanego samca i pomimo trudności sprowadzenia go po bezdrożach z odległości 2½ mil, zabrałem go do Zakopanego, umieściłem na strychu domu, w którym mieszkałem i kilka tygodni tam trzymałem. Miałem tedy sposobność poznać jego łagodność i przywiązanie do ludzi, zwłaszcza do pewnych osób, które doskonale poznawał. Gdy po całonocnym jego pobyciu u mnie, odwiedziła go panna K., która go wychowała, rzucił się do niej z głośnym świergotaniem i począł się z przymleniem tulić.

Pragnąłem dokładniej tego ptaka wystudyować i przywiozłem do Warszawy, a nie posiadając odpowiedniego pomieszczenia u siebie w mieszkaniu, odstąpiłem go tutejszemu ogrodowi zoologicznemu. Ówczesny zarząd ogrodu, oczywiście

nie mając zamiłowania do hodowania i obserwowania zwierząt, sprzedał puchacza do Hamburga, podobno z dużym zyskiem pieniężnym.”

SZARADA.

ulożona przez Ewę Maryą.

W *pierwszem* i *drugim* nad nami promienie
Tryskają siejąc opatrności dary;
W nich *druga*, *trzecia* ziemska, w nocne cienie
Równie jak we dnie złoci swe obszary.

W tem *pierwszem*, *drugim* jest więcej opieki,
Niżeli straży bóstw pogańskich owych,
Co *trzecie*, *czwarte* nazwane przed wieki,
Rzymianom strzegły wciąż ognisk domowych.

A lubo *wszystko*, przy trudach żywota,
Rozjaśnia wzrok, to z górnego ogniska
Ta lśniąca w *pierwszem*, *drugim* iskra złota
Nawet po jego stracie w duszy błyska.

ŁAMIGŁÓWKA.

przez Czarnego gołąbka dla Mani i Helenki Borowy.

Z następujących sylab: che — des — dom — e — el — gil — jef — jusz — nek — ni — of — pi — pio — ra — ra — ryb — ry — sen — te — u — wir — wi — ułożyć 8 wyrazów: 1. Figura w szachach. 2. Imię żeńskie hiszpańskie. 3. Miasto w król. polskim. 4. Następca Salmanasara. 5. Syn Helego. 6. Poeta rzymski. 7. Sędzia izraelski. 8. Tragik grecki, tak, ażeby początkowe litery utworzyły nazwę narodu, a końcowe imię jednego z starożytnych królów.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

Zagadki:

M a d e j s k i.

Łamigłównki zgłokowej:

1. Morela. 2. Aron. 3. Roraty. 4. Grudziądz. 5. Irena. 6. Eger. 7. Rachenberg.

Margier Grażyna.

Czwarty zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechniej ilustrowanej** wyszedł z druku. Wyszedł również 5-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

TREŚĆ: Syon (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Zmarnowane bohaterstwo, p. Teresę Jadwigę. — Kuna (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Podróż młodych Szczuroskich (z drzew.) — W drodze do szkoły, wiersz. — Pamiętnik ołówka. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

Podróż młodych Szczuroskich.

W chwili gdy to piszemy, rodzina państwa Szczuroskich zamieszkała na wsi nad brzegiem Wisły składała się z rodziców w sile wieku, i dziesięciorga pełnych nadziei dzieci. Zajmowali wszyscy w zamożnym dworcu wspaniałą, rozległą norę, do której wejście zawsze go-

by też dziesięcioro dorastającej młodzieży, niesforniej jak to w innych domach bywa zaczęło samowolnie gospodarować w spiżarni?... Niechybnie ani jeden worek z leguminą, ani jeden słój mniej szczelnie nakryty, ani jeden połącz słoniny, sadło i t. p. nie uchowałyby się nietknięte, gospodyni spostrzegłaby natychmiast ślady takiej swawoli i koty i pułapki zjawyłyby się w spiżarni. Obecnie przy mądrym starego Szczuroskiego zarządzie, nic podo-



W czasie uczyt pijąc zdrowie państwa młodych, wystąpił z przemową...

ścinnie na oścież otwarte, znajduje się pomiędzy podłogą i ścianą, obszerną, z roku na rok obficie po staremu zaopatrzoną spiżarni. Rozsądek ojca Szczuroskiego i rządność pani Szczuroskiej pomimo fatalnych czasów, utrzymują znowu rodzinę przy jej posiadłościach, a interes są w tak kwitującym stanie, że jak świat światem i Szczuroscy Szczuroskimi, ani razu nie groził im niedostatek, ani jeden kot nie ukazał się niby widmo złowrogię na jasnym horyzoncie ich żywota. Dzieci dobrze wychowane obiecywały w przyszłości nowy rozkwit rodziny i dalszą dla rodziców pociechę. Trzeba też dodać że nosuszeństwo rozkazom ojca stanowiło tu nie małą ogólnego dobrobytu podstawę. Bo przypuścmy, niech-

bnego miejsca nie miało. Skromnie i przyzwoicie, napocząwszy nieznacznie wędzonkę, kiszkę, ser, czy kielbasę, na boku kędyś wiszące, cała rodzina gryzła z umiarkowaniem tę jedną zdobycz, dopóki nie zjadła jej do ostatniej odrobiny; w ten sposób śladu prawie nie zostawało z tej biesiady i gospodyni wcale ubytku nie spostrzegła. Jakoś na wiosnę minionego roku, zdarzyła się wtedy ważna okoliczność w rodzinie państwa Szczuroskich; oto pan Szczurkiewicz blizki krewny, sąsiad z plebanii, szczur poważny i doskonale uposażony, zaszedł w gościnę z siostrzeńcem, który tu przybył z poblizkiej Warszawy na galarze powracającym po splawionych jabłkach, wśród których jakoś przypadkowo się zawieruszył i odplynał

niechęący. Nie martwił się tem wszakże bo korzystając z tej zrzęcości, zapragnął odwiedzić i poznać rodzinę swoją, zdarzyło się właśnie że wtedy wypadło wesele starszej pary Szczurowskiej, które po staremu suto odbyć chciało. Krewnych należało więc zaprosić, a jednym z najgłówniejszych był ów przybysz z Warszawy, wielkomięskim zwyczajem, pozwalający wieśniakom domyślać się niepospolitego swego w stolicy znaczenia. Cóż dopiero gdy przy uczcie weselną pijąc zdrowie państwa młodych wystąpił z mową, wzruszył nią wszystkich tak, że płakali jak bobry a pannie młodej aż zasłona od łez przemokła. Oczywiście przy takim wzruszeniu mało kto mógł jeść, szczęściem że samemu mówcy dopisywał przynajmniej apetyt. Jedząc zatem przysmaki za wszystkich, wielki kuzyn z Warszawy rozpowiadał jednocześnie cuda najrozmaitsze, jak to tam pysznie się żyje państetami strasburskimi, serem szwajcarskim i t. p. przysmakami, w jakich mieszka pałacach!

Starszym nie bardzo się ta gadanina podobała, podejrzewano nawet że chwając miejskie a ganiąc wiejskie potrawy, ów przybysz z miasta dziwnie łakomie z niemi się jednak zatatwiał. Ale dwoje najmłodszych Szczurowskich, niedoświadczone wyrostki, nie tak rozsądnie zapatrząc się na rzeczy, uwierzyli gawędom gościa i zachwyceni chciwie słuchali powieści o rozkoszach stołecznego życia, które poprostu głowy im zawróciły. Co chwila wzdychało jedno lub drugie.

-- Ach, gdybyż my to mogli jeść!

— Dla czegoż nie! — odparł gość — nic łatwiejszego. Powiadam wam że Warszawa leży także na Wiśle ale powyżej cokolwiek, zatem byleście szli tylko brzegiem rzeki w górę, to z pewnością do Warszawy traficie, a tam mnie, Szczurowieckiego każdy już zna!

Skończyły się gody, rozeszli się goście, dawna cisza i systematyczny porządek wróciły do wnętrza domu Szczurowskich. Ale nie wrócił dawny spokój i zadowolenie do umysłu dwojga najmłodszych wyrostków. Wyobraźnia ich rozbudzona spędzała sen z powiek. Naprawdę starsi i rodzice tłómaczyli im że jeżeli wszędzie jest dobrze to w domu zawsze najlepiej, i że rzeczywistość nigdy nie wyrówna marzeniom. Dwie zawrócone głowy o niczem nie myślały tylko o podróży do Warszawy, jakby choroba jaka ogarnęła niedoświadczone stworzenia. Z początku persadowano im niepotrzebne zachcianki, gdy to nie pomagało, kilka surowych słów z ust ojca rodziny przyprowadziły wyrostków do rozsądku na pozór, ale na pozór tylko.

(d. c. n.)

W DRODZE DO SZKOŁY.

CHŁOPCZYK.

Jakże szczęśliwą jesteś ty, pszczoło,
Latając sobie w polu wesoło.
Ja, codzień muszę chodzić do szkoły,
Gdzie mnie czekają ciężkie moczoly!

PSZCZOŁA.

Patrz! słońce świeci z rana dokoła;
Na polu rosną kwiatki i zioła,

A ja z nich zbieram zapasy miodu,
By w czasie zimy nie cierpieć głodu.

CHŁOPCZYK.

To ty skowronku ptaszku maleńki,
Naucz mnie twojej miłej piosenki.
Zbliź się tu do mnie! Żeby czas skrócić
Naucz mię latać i jak ty nucić.

SKOWRONEK.

Wybacz, chłopczyku, ja mały ptaszek,
Nie mogę tracić chwil dla igraszek;
Bo czas na świecie szybko upływa...
Już wiosna kwieciami drzewa okrywa
J nowe życie w przyrodzie budzi;
A ja, skowronek, uprzedzam ludzi
Piosenką moją, z brzaskiem jutrzeźni,
O Bożych darach wszechmocnej ręki.
Więc i ty, chłopcze, bierz przykład ze mnie,
Ucz się i nie trać chwil nadaremnie!...

CHŁOPCZYK.

Otóż i Wiernuś, kundel sąsiada,
Na progu domu sobie zasiada.
Jaki szczęśliwy! jaki wesoły!

KUNDEL.

Pan mój raniutko udał się w pole,
By wcześniej swoją uprawić rolę;
Ja zaś tu muszę siedzieć przed drzwiami,
Aby strzedz domu przed złodziejami.
Później znów będę pilnować owce,
By nie wchodziły gdzie na manowce.
Więc i ty chłopcze, zdrowy, wesoły,
Nie marnuj czasu i śpiesz do szkoły!

CHŁOPCZYK.

Ha, już rozumiem, że na tym świecie
Każdy pracować powinien przecie.
W własnym też sercu słyszę głos z nieba,
Że kto próżnuje nie wart jeść chleba.
Mimo więc ciężkie nauk moczoly
Zaraz z ochotą pójdę do szkoły.

PAMIĘTNIK OŁÓWKA.

(Dalszy ciąg.)

Żałowałem bardzo że tak krótko pozostawałem w czystych zawsze rączkach Stasia i Zosi, lub w ich ładnych pudełeczkach, piórnkach, szufladkach. Teraz byłem w posiadaniu dzieci stróża, które brzydko wdzierały mię sobie, sprzecząc się o mnie w hałaśliwy i nieobyczajny sposób, popychając się nawet nieraz, co wszystko razem wcale nie było podobne do figielków Stasia i Zosi, i niezmiernie dla mnie przykre. Naprawdę nie umiano nawet używać mię stosownie, upuszczano co chwila na ziemię, nadeptywano, ułamywano i temperowano znowu, w najboleśniejszy dla mnie sposób. Ach, wtedy to smutnem doświadczeniem nauczony, dowiedziałem się, jak okropnie przykrą rzeczą jest żyć w towarzystwie niegrzecznych dzieci. Gdy tak wlokę ciężki mój żywot, wtem, raz na podwórzu przystępuje do nas

mały chłopak, terminator od szewca, mieszkającego w tymże domu i popatrzawszy na mnie, rzecze:

— Dziecil chcecie dwa grosze za ten kawałek ołówka?...—oddano mię chętnie. Odtąd doła moja zmieniła się, chociaż długo nie mogłem zrozumieć co się ze mną dzieje. I teraz znajdowałem się zawsze w zasmolonych rękach, ale byłem przytem szanowany i pielęgowany bardzo i skrywany starannie w kieszeni. Bardzo często, o wszelkich porach dnia i nocy przy kaganku, mój właściciel pisał coś śpiesznie a nieudolnie, z moją pomocą, na dziwnie brudnych, najczęściej już zapisanych lub zadrukowanych kawałkach papieru i ukrywał mię znowu pośpiesznie. Ale ja ani raz zrozumieć nie mogłem sensu i celu tego pisania, wdychając tylko ciężko na wspomnienie ślicznych zeszycików Stasia i Zosi, gdy musiałem teraz dotykać brudnych świstków. Nareszcie, z czasem pojąłem tajemnicę. Oto mój właściciel, malutki terminator, uczył się za moją pomocą pisać sam, i pokryjomu!... Nie śmiał czynić tego otwarcie, gdyż miał chodzić do niedzielnej szkoły dopiero od wakacyi, a tymczasem majstrowa kazała mu kartofle skrobać, drewna rąbać, wodę nosić, i dzieci piastować. Odkrycie to sprawiło mi wielką ulgę w mem poniżeniu: wszak w każdym razie miłą jest i uczciwą rzeczą, pomagać ubogiemu pragnącemu nauki.

Pewnego południa malutki terminator trzymając dziecko na jednej ręce, pisał drugą z moją pomocą, między liniami na czyimś zużytym zupełnie zeszycie, usiłując naśladować znajdujące się już tam litery.

— Mały! hej! przynieś mi śniadanie! Dwie bułki, dwa serdelki! — zawołał czeladnik, podając pieniądze. Malec w mgnieniu oka jak zawsze skrywszy mię do kieszeni, pobiegł na ulicę; wtem poczułem przepaść roztwiera się podemną i wysuwając się z dziurawej biedaka kieszeni, upadłem w błoto...

Leżałem czas jakiś spokojnie, bo ulica niezbyt była ludna, nareszcie dwóch małych chłopców w mundurkach, uczniów widocznie, zbliżyło się ku mnie i jeden rzekł:

— Patrz-no, oto leży skrawek ołówka, nie wart już ani grosza, ręczę ci że jeżeli nasz stary profesor go spostrzeże, to go podniesie, i będzie nim robił swoje notatki, zużytkowując do ostatniej odrobiny, chociaż jednocześnie niejednemu ubogiemu dziecku kupi ołówek cały, i nie jeden grosik da ubogim starcom, tak on robi i ze skrawkami czystego papieru, gdy je kto w szkole porzuci, kupując jednocześnie papier całemi librami dla najbiedniejszych swych uczniów, choć sam też jest ubogi. Tak on zawsze robi, i dla tego my go nazywamy „Skrawkiem”. Powiadam ci tę tajemnicę jako nowicyuszowi.

— Ależ nie może być żeby profesor „Skrawek” zbierał takie znów małe skrawki! — zaśmiał się drugi uczeń przyglądając mi się.

— Nie wierzysz? To poczekajmy chwilę a przekonasz się! Przecież Skrawek codziennie tędy przechodzi.

— Dobrze! Wejdźmy do téj bramy, będziemy widzieć niewidziani...

— A to po co? Czy myślisz że będzie się wstydził podnieść przy nas? Bądź spokojny, ani mu do głowy

taki wstyd nie przyjdzie; dać jałmużnę ubogiemu przy nas, toby powstrzymał się pewno, bo dba aby nie wiedziała lewica co daje prawica, to jest aby nie szukać chwalby z dobroczynności; podnoszenia skrawków nie zwykł się wstydzić, owszem, uważa to jako lekcję oszczędności dla nas.

— Ależ to śmieszność!

— A przynajmniej dziwactwo; najśmieszniejsze jest to, że jeżeli napotka nie skrawek bezużyteczny, lecz jakiś większy kawałek ołówka, to go właśnie nie podniesie, tem mniej nie dotknie całego ołówka...

(d. n.)

SZARADA.

ułożył Kameleon.

Pierwsze, drugie i trzecie
W sklepie kupić możecie
Gdy czwarte dołożysz,
Nazwę wyspy złożysz,
Gdzie dawniejszych Greków męstwo
Odniosło słynne zwycięstwo.

Krzyż z podstawą.

od Niezapominajki z nad Warty, dla Bomby.

1
.
.
11 . . . 15
.
.
16 . 18
19 . . . 23
24 . . 10 . . 30

1—10 Poeta polski. 11—15 Rzeka w Azji. 16—18 Owad.
19—23 Gatunek orzecha. 24—30 Tytuł powieści, którą się zachwycały czytelniczki Wieczorów Rodzinnych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

Szarady:

O — la — wa. (Olawa Ohlaw) w Szląsku Pruskim.

Łamigłówki liczbowej:

Bohdan Zaleski.

Boh.

Han.

Don.

Nad.

Las.

Leki.

Bole.

Za.

Laska.

Skrzynka do listów.

Wszystkich którzy nie dali adresu swego, a otrzymali nagrody na konkursie kaligrafii, upraszamy aby się sami po nie zgłosili, donosimy też, że do numeru tego dajemy nadzwyczajny dodatek z korespondencją, chcąc aby nadal nie zalegała tak długo.

Za liścik twój i przesyłkę, luba **Pieszczotko** ściskamy cię po tysiąc razy, ubogie zaś dzieciętki obdarzone sukienkami w Szpitaliku dzieciennym serdecznie zasylają modlitwy do nieba za tę, która im ofiarowała swą pracę.

Chcąc pisać dla drugich, kochana **Macierzanko**, trzeba się przedewszystkiem uczyć, bo wtedy dopiero wrodzone zdolności mogą się wykształcić. W przysłanym wierszyku niema myśli żadnej, a brak także i rymów, bo n. p. *śpiewa* nie rymuje się: z *nieba*.

Biała Ostróżko serdecznie ci dziękuję, że piszesz do mnie poufale „jak do starszej siostrzyczki”, a to co piszesz o sobie, czyni mi twoją osobkę nader sympatyczną. I ja lubię konie, łódkę, krowkieta i w ogóle ruch na świeżem powietrzu, o który w Warszawie tak trudno, wyrosłam zaś już z tych lat szczęśliwych, w których się miewa wakacje. Niby to mam nieustające, a w istocie nie mam żadnych. Stale przebywając w mieście, nabrałam spokojnych zamiłowań, do jakich się przyznaje ta, nie bardzo straszna, Zawierucha, którą z chęcią do grona korespondentek przyjmuję. Lubię naukę, muzykę, kwiaty ptaki, najlepiej zaś lubię pisać do was, drogie moje! Żebyście wiedziały jak sobie wypraszam u Redakcyi więcej miejsca, o które zawsze w naszym piśmie trudno. A tu jeszcze **Zorza** wymówki mi robi, że niem długich „listów od Gołąbki”! Nie, Zorza droga, Janek sierota nie ma żadnego innego pseudonimu, a gdy przyślesz adres, odbierzesz żądany numer.

Więc już do grona naszego przechodzisz, **Piszczątko z nad Ussy?** coraz nas więcej staruszek.

Moja biedna **Sosno Polska**, a któż by ci miał za złe opóźnienie. Dzięki Bogu, że choroba twój babki minęła szczęśliwie; pojmuję, co przecierpieć musiałaś.

Szarotka prosi mnie, bym się za nią „wstawiła” do Redakcyi. Redakcyja nasza najukochańsza pod słońcem, jest nielitościwą gdy o kolęj chodzi, ale gdyby nie to, możebym nie otrzymała od ciebie tak milego liściku, Szarotko, a drugiego w takimże samym interesie od białej Perełki, której tę samą co Szarotce zmuszona jestem dać odpowiedź.

Vesto, wybornie zrobiłaś, że nie znalazłaś żadnej przeszkody do pisania do mnie: przesyłam ci za to serdeczne życzenie zdrowia, również jak i biednej Przepiórcie z nad Teterowa na oczy choręj.

Nie, **Wróźbiarko szczęścia**, nie mnie widziałaś w Redakcyi. I znowu drugi raz „nie” ci powiem; nie gniewam się za twój list pocziwy a mądry, zaszczytnie o sercu twem i główce świadczący. Owszem, jak najczęściej o takie proszę.

Szumigłówkę przyjmuje za siostrzyczkę, ale nie żadna nieznaną jej, ani mnie „pani”, lecz wasza zwyczajnie domowa Gołąbka, którą nawet zasmuca szczerze pytanie zadane jej przez Starą Pracę: „czy może pisywać do mnie”. Ależ naturalnie, że może, jeżeli tylko chodzi jej choć trochę o to, by mi zrobić jak największą przyjemność.

Nie, **Jagódko Podolska** nie znasz tego, co nazywasz „moją tajemnicą”, ale to mi nie przeszkadza przesłać ci serdecznego całusa.

Wiedenko z żywopłotu, Dobra pani powiada, że najmilszą dla niej nazwą jest właśnie ta, jaką jej dajecie. Dziękuję ci za udzielenie mi wiadomości, jak mi na imię; nie wiedziałam dotychczas, że takie noszę. Listy twoje czekają zapewne swojej kolei, a łamiągłównki będą drukowane wtedy, gdy na nie także „kolęj” przyjdzie.

Dla czego wątpisz, **Prawdo**, że ci na twój liścik odpiszę? Owszem, dla kandydatek na staruszki mam wielkie poważanie, skoro sama już sędziwa jestem, a młodszym siostrzyczkom tak serdecznie odzywającym się do mnie, jak Złota Przędza, wdzięczną jestem za przyjaźń ich i zaufanie.

Jaskółko z nad Dunaju, w obec twego listu o Wiedniu, wstyd mi moich „Listów z Warszawy”, i dobra Pani, gdy jej twoje pismo dałam do przeczytania, tak jakoś na mnie spojrziała... porówna-

wczo!... Moich listów całą zaletą jest, że kocham domowe kąty nasze i was, miłe siostrzyczki, i dla tej szczerzej siostrzaniej miłości wybaczenie mi wszystkie, że tak po prostu po domowemu, o domowych rzeczach piszę i że skromna wasza Gołąbka nie jest świetną Jaskółką, która oby jak najczęściej odzywała się do mnie.

Miło mi słyszeć od ciebie, kochana **Niezapominajko z nad Warty**, że cię list Józia zajmuje. Siostra moja tak często zmieniała pseudonimy, że nie wiem, czy potrafiłabyś ją wysledzić w korespondencyi Wieczorów, dziś dorastając, spowaźniała i wstydy się wypłatanego mi figla

Na pytania **Różowej Jutrzenki**, odpowiedzi mogłaby tylko udzielić Redakcyja, która miewa swoje tajemnice.

Na pytania **Filaretki** kochanej, wtedy odpowiedzieć będę mogła, gdy wszystkie korespondentki nasze uczynią zadość prośbie, którą do nich na końcu listu zanoszę.

Kulko śniegowa nie roztajała jeszcze na swojej Litwie, z której nam donosi, że tam chłodno jeszcze i dżdżysto, a u nas wiosenne już upały i delikatna zieloność wiosenna. Na wsi jednak piękniej być musi, niż nawet w ślicznych Łazienkach, ale i ja tak jak ty kochana siostrzyczko, mam takich, których „nie chcę w domu zostawiać”.

Jak zwykle dla braku miejsca, spóźniłam się z odpowiedzią na pierwszy list twój kochana **Ostróżko biała**, dowodzący pocziwego twego serduszka, aż tu na zawstydzenie moje wielkie odbieram list drugi, na oba więc razem odpisuję. W tym roku jak i w poprzednich, kto pamiętać zechce o biednych dzieciach zamkniętych w murach miejskich, a pragnących się dostać do kolonii letnich, ten niech raczy ofiary nadsyłać, a choćby najdrobniejsze z wdzięcznością przyjęte będą. Zazdroszczę ci, że jesteś na wsi, bo my tu nie wiele wiemy o wiosnie i długo, długo jeszcze czekać musimy, zanim wędrownie ptaki, z kolei także pospieszymy odetchnąć powietrzem pól i lasów.

Na zakończenie, przesyłam ci parę całusów **Iskierce i Kłowskiemu podolskiemu**, odznaczonym na konkursie kaligrafii, odzywam się jeszcze do was w imieniu Redakcyi z prośbą, aby każda z naszych korespondentek, w pierwszym liściku jaki do nas pisać będzie, położyła obok swego pseudonimu i nazwisko wraz z wymienieniem dawnych pseudonimów. Tyle się namnożyło pseudonimów, tak się często zmieniają, że Redakcyja chce uformować nową listę, co jej zapewne ułatwicie z ochotą. Serduszkom waszym się poleca, szczerze was kochająca

Gołąbka.

Milutka **Głoksynio!** Donoszę ci, że zmieniłam pseudonim „Marzenie”. Ucałuj odemnie Manię i Zosię i sama przyjmij uściskienie od **Kaplanki Znicza**.

Droga **Jaskółko z nad Sekwany!** Nie wiem, czy zechcesz ze mną korespondować, ale ja bardzo ciebie kocham dla tego, żeś na obczyźnie nie zapomniła o swoich siostrzyczkach. Napisz mi co o sobie. Ja mam lat 15, na imię mi Wikcia, mieszkam na Ukrainie, uczę się w domu przy nauczycielce. Całuję cię, **Sikorcka**.

Szanowny **Książę Genjuszów!** Bardzo podobał mi się twój pseudonim. Napisz mi co o sobie, ja zaś obchodzę swoje imienniny 30 grudnia. Mieszkam na Ukrainie koło rzeczki Rosi. Jestem w 4-tęj klasie gimnazjum. **Filozof**.

P. S. Posyłam ci geometryczną łamiągłówkę.

Miluchna **Rosiczko z nad Rowu!** Znam cię z fotografii, pan- na Anna mi mówiła, że będziesz do mnie pisywać. Przesyłam więc pierwsza uściski dla ciebie i Córy Mazurów, a dla Zygmunia od Kłoska, który ciekawy, jaki on ma pseudonim? P. Anna wszystkich was serdecznie całuje. **Iskierka**.

Kochana **Jemioluszeko!** Z twego listu do Aki, widzę, że jesteśmy w jednym wieku, więc piszę do ciebie. Na imię mi Marya, mieszkam w Prusach Zachodnich. Która powieść w Wieczorach najbardziej ci się podoba? Proszę o prędką odpowiedź i ściskam cię, twoja **Trawka z nad Fryby**.

Drogie **Cyganecko z nad Wisły i Brzydotka!** Dziękuję ci **Cyganecko** za list, czekałam go bardzo od pół roku. Dla czego mi nie odpisywałaś? Zapewne że jestem młodszą od ciebie. Boję się z tobą korespondować, bo jako młodszą nie odpiszesz z przyjemnością. Napisz czy tak jest? Nie rozgniewam się o to,

Sarenka lato w Szczawnicy przepędziła. Brzydotko czy mego listu w numerze 44 nie zauważyłaś? Odpiszcie. Ścisłkam was, *Chmurka złocista*.

Jaskółkę z nad Sekwany pozdrawiam.

Kochana Aniu C. i Ułanko. Ciebie Aniu znam bardzo dobrze z opowiadań twój ciotki Heleny J. Wiem, że masz siostrę Józję i brata Stasia i że jesteś w moim wieku. Piszę do ciebie, bo czuję wielką dla ciebie sympatyę. Proszę cię bardzo Ułanko, byś mi co o sobie doniosła, a ja ci zaraz odpiszę. Ścisłkam was, *Łezka z nad Lutyni*.

Droga, kochana moja Brzydotko z nad Tamizy! Jakże ci mam dziękować, złota moja, za twój miły wierszyk! Nie wyobrażasz sobie nawet, jaką mi radość sprawiły te kilka wyrazów, które przysłałaś mi z obczyzny luba Brzydotko. Jeśli zechcesz to będziemy często do siebie pisywać, dla mnie liściki wszystkich korespondentek są bardzo pożądane. Raz jeszcze dziękuję ci kochana Brzydotko za twoją odpowiedź i całuję serdecznie. Kochająca *Złota przędza*, dawniej *Gwiazda*.

Najukochańsze: Westalko, Kapłanko Znicza, Stokrotko polna, Śnieżycy, Krasnolico, Jedlinko, Mazureczko z nad Narwi, i Różyczko biała z Wołynia. Dziękuję wam po sto razy, dziękuję za serdeczne liściki, które mi darzyście. Powiedzcie mi moje lube, czem zasłużyłam na waszą życzliwość, będąc wam nieznaną? Westaleczko miłuchna, i dla mnie czytanie jest najprzyjemniejszą rozrywką. Jak zdrowie twój mamy? Zapytujesz co porabiam Kapłaneczko? Uczę się, robię ręczne robotki i uczę dwie dziewczynki, 14 Anusię i 13 Marynię; teraz zaniechawszy to, doglądam moją mamusię od 3 miesięcy chorą; jak twoja nóżka boląca? Stokroteczko droga? w „Wieczorach” wszystko mi się podoba; gdzie mieszkasz? jak ci na imię? Milutkie, Śnieżycy i Krasnolico, czyście siostry? Jakie są wasze imiona? O mnie dowiecie się, w 1-ym numerze „Wieczorów”. Jedlineczko złota, za zrodzenia dziękuję serdecznie, przesyłam wzajemne; czy masz rodzeństwo? jak ci na imię? Mazureczko luba, jakie nosisz imię? Różyczko droga, żadnego z większych miast nie znam, na wiosnę dopiero pojedę z mamą do Kijowa; czy znasz to miasto? Odpiszcie prędko, moje najdroższe przyjaciółeczki. Całuję was, życzliwa *Stokrotka z nad Stochodu*.

Staszce z Podola Czeskiej Niezabudce, Ukraince na Mazowszu i Ace szlę pozdrowienia serdecz 16 letnia *Stokrotka z nad Stochodu*.

Kochany Promyczku ze Wspólnój! Pseudonym twój podoba mi się bardzo, chcę się więc przez „Wieczory Rodzinne” z tobą zapoznać. Ja mam imię króla, który pierwszy przyjął Chrystus, 5-ty, i lat 8. Twój *Rak morski*.

Drogi moje! Myszko biała i Kwiecie Paproci! Tobie Myszko donoszę, że mieszkam nad samą granicą, nazwisko moje zaczyna się od B. Kwiecie Paproci, nie jestem Jadwigą H. ale B.; pisałaś już do mnie, myśląc że mam pseudonym Gwiazdki z Podola, ale ja byłam Gwiazdką, a teraz jestem Złotą Przędzą. P. Helena T. która nam dała wzajemne o sobie wiadomości, musiała się pomylić co do mego pseudonymu. Jadzia H. nie pisuje do „Wieczorów”. Całuję was drogie moje, szczerze życzliwa *Złota Przędza*.

Droga Sarenko z nad Moroczu. Zdaje mi się, że jesteś równie jak ja staruszką, pisz do mnie i donieś czy Topolka srebrna i Chmurka są twemi siostrzyczkami? ja jestem jedynaczką. Ścisłkam was wszystkie trzy *Ukrainka na Mazowszu*.

Kochana Muszko brzęcząca! Masz lat 9, więc jesteś o rok młodszą odemnie, donieś mi co więcej o sobie; ja uczę się w domu, a na lekcje robót chodzę do specjalnej nauczycielki. Pozdrawiam cię serdecznie, życzliwa *Ukrainka z Kącika*.

Kochana Janino M.! Dawno już chciałam napisać do ciebie, lecz nie mogę mówić wiele o sobie, bo zgadłabyś zaraz kim jestem, powiem tylko, że obie nosimy jedno imię. A teraz zgadnij kto się ukrywa pod pseudonymem *Mgły?*

P. S. Różo polnej, Siwemu Konikowi, Błyskawicy, Trusi i małej Łaszce, serdeczne pozdrowienia łączę.

Kochana cicha Wodo! Mam szczerą ochotę z tobą korespondować. Opisz mi ile masz lat? Jak ci na imię? i czy podoba ci się „Wieczorek w Zalesiu”? Niezapominaj o *Burzliwej Naturze*.

Droga moja Konwalijko! Bardzo jestem ciekawa, czy po-

znasz mnie pod nowym pseudonymem? Ja ciebie znam bardzo dobrze, widujemy się dość często. Zgadnij kto jestem? Twoja *Przyjaciółka*.

Drogi moje: Jutrzenko i Różyczko Jerychońska! Dziękuję wam serdecznie za pamięć o mnie; z największą przyjemnością odczytuję wasze liściki, równie chciałabym was poznać i uściskać, ale taka przestrzeń nas dzieli, iż wątpię, czy się kiedy poznamy. Tyle już o sobie pisałam, iż znaczenie mi zapewne dobrze. W „Wieczorach” najwięcej mi się podoba „Pod wpływem błogosławieństwa”. Ścisłkam was serdecznie i polecam się pamięci. *Czarnooka z Puszczy*.

P. S. Gałązkę Paproci pozdrawiam i proszę o prędką odpowiedź.

Droga Muszko brzęcząca! Choć masz siostrzyczkę bardziej zblizoną do mnie wiekiem, nie wiedząc czy pisuje do „Wieczorów” odywam się do ciebie. Nazywam się Emcia. A kto jestem odgadnij. *Pocieszka*.

Droga Biała Akacyo! Długo oczekiwana twoja odpowiedź zjawiała się nareszcie w Wieczorach, sprawiając nam prawdziwą radość. Zasmuciła nas tylko wiadomość o twojej chorobie, w lecie będziesz może potrzebowała, odetchnąć świeżym, wiejskim powietrzem i przyjedziesz w nasze strony? My teraz we wszystkich wolnych od nauk chwilach, rozkoszujemy się uroczą wiosną. Serdeczne życzenia zdrowia, przesyłamy ci wraz z tysiącami całusami. *Złota Wierzbica i Reginka*.

Jak ty możesz miła Niezapominajko z nad Warty, pytać Podolanek czy na Podolu ładnie! — Ależ cudownie, siostrzyczko, prześlizgnie. I ty pewno tak myślisz, Czarnooka z puszczy! A kochany Kwiat lotosu mieszka w Kaliszu, prawda? — Kopciuszkę złotą, możesz ty Rusalkę z Dzimitry, czy zgadłam? Wasz, kochający *Poranek*.

Kochana Aksamitko! Zgadnij kim jestem i jak się nazywam? Znamy się doskonale, mieszkasz w jednym mieście ze mną, nazywałeś się Janina i masz 11-ty rok. Całuje cię *Leśna konwalia*.

P. S. Ucałuj Polną różę i Czarną perelkę.

Droga Żabko Podolska! Bardzo mnie zaciekawiłaś swoim pseudonymem. Mieszkam niedaleko Dniestru. Mam dwie siostry i jednego brata. Na imię mi Celina, nazywają mnie *Cisią*, mam lat 13, donieś mi co o sobie, Myszka Biała.

Kochana Cyganeczko! pierwsza piszę do ciebie i mam nadzieję że mi odpiszesz. Donieśmi co więcej o sobie, o mnie dowiesz się z listu do Żabki z Podola. *Myszka Biała*.

Kochani: Rezedo, Rybko i Raku z Kamionki! Dlaczego tak dawno nie miałam od Was wiadomości? Czybyście już opuścili góry Świętokrzyskie? Kalino z nad Węgierki! może Ty chociaż za pośrednictwem Wieczorów Rodzinych doniesiesz mi coś o nich i o sobie? Wszak nie zapomniawszy jeszcze *Stanisławy z Mazowsza*.

Droży Wyłodyowski i Podbipięto! Chociaż nie znam was, ale wasze pseudonymy bardzo mi się spodobały. Chciałabym bardzo wiedzieć gdzie mieszkacie, ile macie lat, gdzie się uczycie? Czy pan Wołodyowski ma żółte wąsiki i wielką zręczność w robieniu szabelki, a pan Podbipięto czy już usiekl trzy głowy tatarskie, jak Wołodyowski i Podbipięto Sienkiewicza? Jestem nowym prenumeratorem Wieczorów Rodzinych. Mieszkam na Kaukazie, w Tyflisie, jestem w 2 klasie Tyfliskiego gimnazjum. Mam 2 braci i dwie siostry. Zarekomendowałam się wam, proszę zatem odpisać na moje zapytania. Z bohaterów Sienkiewicza, bardzo mi się podobają Kmicic; jego to nazwisko obrałam dla pseudonymu. Wasz *Kmicic*.

Kochana Niezapominajko z nad Warty. Dziękuję ci bardzo żeś do mnie napisała. Donoszę ci, że się nazywam Gabryela, mam lat 12, siostrzyczkę i braciszka, mieszkam na wsi. Napisz mi co ci się najlepiej podoba w Wieczorach, bo mnie bardzo zajmuje „Szesnastoletni Wojewoda.” Odpisz mi i donieś czy lubisz muzykę, bo ja ogromnie. Pisałam do Stokrotki z nad Stochodu i nie odpisała mi, ale spodziewam się, że ty inaczej postąpisz. Całuję cię po tysiąc razy *Stokrotka polna*.

Wszystkim moim kochanym siostrzyczkom zasylam życzenia zdrowia i serdecznego całusa na dowód przyjaźni; *Złota T. ca.*

Drogi czytelniczki „Wieczorów.” Przesyłam wam wszystkie najlepsze życzenia z okazji świąt. Wśród wesołego Alleluja pamiętajcie zapewne o głodnych i wszelkiego rodzaju biednych. Przyjmijcie serdeczne ucałowania od kochającej was *Burzliwej Natury*

Kochana Pojato! Zdaje mi się żem odgadła, a właściwie wiem napewno, że jesteś Bibka K. Widujemy się codziennie, mieszcząc w jednym mieście, a teraz bywaj zdrowa i odpisz jak najprędzej twojej roztrzępanej, a szczerze cię kochającej *Szumigłównie*.

Droga Jaskółko z nad Sekwany, wybacz że tak długo milczałam, znam cię dobrze z naszego Pisemka. Jak ono nas zbliża mimo oddalenia, tysiączne mu za to dzięki! Tobie Różycko biała z Wołynia, dziękuję za pozdrowienie, które teraz dopiero zauważyłam. Jestem od ciebie starszą. Ściskam was obie, jeśli nie wiecie, zgadnijcie jakie jest imię kochającej was *Jaskółki z nad Dunaju*.

Kochana Wańdziu Ole... Mieszkamy naprzeciwko siebie i nie znamy się. Wybierz sobie jaki pseudonym i pisuj do „Wieczorów,” poznamy się w ten sposób i będzie to bardzo oryginalne. Twoje *Rajskie Jabłuszko*.

Słyszałam, Kochana Magdziu, że prenumerujesz „Wieczory.” Napisz do mnie i zgadnij kim jestem? Mieszkam w Skomorochach Wielkich, mam lat 7 na imię mi Zosia. Mam braciszka Stasia i siostrę Janię bardzo dobrą. Miałam złote rybki ale je zjadła kotka. Wybieramy się do was w lecie. całuję Ciebie z Elżą i Marysienką, *Zosia*.

Znam cię doskonale droga Rybko z Hniłopiaty! Po twym serdecznym odezwaniu się niepodobna mi było nie odgadnąć ukochanej osobki, z którą tyle miłych chwil spędziłam. Pewną jestem, że zostaniesz jak ja wielbicielek „Wieczorów,” obok słicznych artykułów podawanych, tak mi niezmiernie podoba się rozmowa z siostrzyczkami, że co tydzień pisaćbym chciała. Ale nie można być samolubną! Tysiąc razy cię ściskam. *Biała Perelka*.

Kochana Ako! W numerze 7 wzywasz współpracowniczkę do korespondencji; powiedz mi więc co oznacza twój pseudonym? w żaden sposób nie mogę znaczenia jego odgadnąć. Zaspokój mą ciekawość, a tymczasem przyjmij uściśnienia od *Białej Perelki*.

Błyskawicy i Sosnie polskiej serdeczne uściśnienia zasylam.

Droga Cyganecko! Czytałam twoją odezwę do czytelniczek naszego Pisemka, i chciałabym korespondować z tobą; czy się zgadzasz na to? Ja mam dwie siostrzyczki, które także pisują do „Wieczorów,” na imię mi Stasia, mieszkam w Ks. Poznańskim, na wsi. Przesyłam ci uściśnienia. *Szarotka*.

P. S. Gałązkę paproci i białą Orliczkę ściskam serdecznie.

Witam cię! witamy, droga Ako! Więc jeszcze jedna miła korespondentka do grona naszego przybyła. Chciałybyśmy wiedzieć, czy do młodszych? czy też do starszych siostrzyczek należysz? Gdzie mieszkasz? i czy się uczysz? W przyszłym liściku doniesiemy o sobie, a teraz ściskamy cię serdecznie: *Noc Księżycowa i Kopciuszek*.

Miła Krasnolico i Brzydotko z nad Tamizy! Krasnolico kochana, sądząc z pseudonymu że musisz być dobrą i miłą, pokochałam cię serdecznie. Brzydotko milutka! dla czegoś taki obrała sobie pseudonym? Donieś mi, czy tam, daleko nad Tamizą, ładnie? O sobie ci nic nie donoszę, gdyż tyle razy już to pisałam w „Wieczorach,” Odpiszcie, i kochajcie mnie zawsze, Krasnolico i ty tak oddalona od nas Brzydotko! Ścisła was po milion razy, kochająca was wszystkie drogie siostrzyczki, choć nieznaną *Wróżbiarką szczęścia*. Stokrotce z nad Stochodu, Wesolej Krakowiance, Niezapominajce z nad Warty i Jesieni posyłam miliony uściśków.

Droga Cyganecko! Odezwa twoja do czytelniczek „Wieczorów” natchnęła mnie chęcią pisania do ciebie, tem więcej, że mam lat 13-cie. Na imię mi Jadwiga, mieszkam w guberni Kieleckiej i mam 4 siostry, a jednego ualego braciszka; w Warszawie nigdy nie byłam. Jak ci na imię i czy masz rodzeństwo? Odpisz mi, proszę, droga Cyganecko, jesteś pierwszą, do której piszę przez „Wieczory” nasze. całuję cię serdecznie. Nieznana *Zorza*.

Kochana Cyganecko z nad Wisły! Z liścików twoich wnioskuję, że musisz być bardzo wesolą. Ja, również jak i ty, nie należę już do konkursów, jestem wysoka na swój wiek i bardzo lubię nauki, a przedewszystkiem muzykę. Przyjmij pozdrowienia serdeczne od *Szarotki*.

Kochana Cyganecko, piszę do ciebie wyczytawszy, że chcia-

łabyś otrzymać liścik. Donoszę ci, że nazywam się Jadwiga, mam lat 12. Donieś mi co ci się najlepiej w „Wieczorach” podoba? bo mnie „Szesnostoletni Wojewoda,” a także „Wieczorek w Zalesiu.” Ściskam cię serdecznie. *Sarenka modrooka*.

Kochany Siwy Koniku! Widziałem Cię raz jeden i bardzo mi się podobałeś. Przygalopuj do nas jak będziesz miał czas. Na jakiej ulicy mieszkasz? Donieś mi to; a tymczasem ściskam cię serdecznie. Twój *Marynarz*.

Kochane moje: Blondynko z pod Piotrkowa, Jesieni, Stokrotko z nad Stochodu, Wróżbiarko szczęścia, dawna Gosposiu, Jaskółko ukraińska, Poziomko kujawska i ty Lewkonijko, wybaczcie mi wszystkie! Wczoraj przeglądając „Wieczory” z ostatnich dwóch lat, zauważyłam mnóstwo liścików i pozdrowień, na które odpowiedziałem — milczeniem. Nie gniewajcie się, moje miłe; jako staruszka mam poważne obowiązki i mało czasu, ale choć niezbyt często, z każdą z was korespondowałabym z ochotą. Poziomeczko, tobie odpisywałem, ale list mój zaginął pewnie. Jaskółko, czy już nie czytujesz „Wieczorów”? nie spotykam twego imienia w Skrzynce, może zmieniłaś pseudonym? Jesieni, w odpowiedzi na pytanie, donoszę ci, że tak uwielbiam naszych wielkich poetów niedalekiej przeszłości, że dla teraźniejszych mało mi zostaje zachwyty. Zresztą przenoszę poezję życia, czynu, myśli i pracy, nad rymowaną. Żegnajcie mi wszystkie i piszcie do waszej *Wiochny z pod Lublina*.

Drogie: Cyganecko z nad Wisły! Smietanko, i Rybko z Niemenka! Jakże mogłaś Cyganecko myśleć żem o tobie zapomniała! gdy pokochałam cię od czasu jak czytać zaczęłam „Wieczory.” Czemu na mój pierwszy list tak długo nie odpowiadałaś? Rybko zgadnij kim jestem? Znam cię z opowiadania p. Stefani. Smietanko, donieś o sobie i opisz swoją osobkę. Ściskam was serdecznie wraz z Westalką. *Chmurka Złocista*.

Przepraszam cię Poranku majowy za długie milczenie, którego przyczyną brak czasu. Uczę się w domu, razem z dwiema innymi panienkami. A Ty Poranku, gdzie się uczysz? Napisz mi co o sobie, gdzie mieszkasz i ile masz lat? ja mam piętnaście skończonych. całuję cię serdecznie *Fioleczek z nad Wisły*.

Drogie moje: Westalko i Cyganecko z nad Wisły! Zdaje mi się, że jesteście Marylką i Jadzią D. czy tak? Powiedźcie to proszę. Kochana Ukrainko na Mazowszu! chorowałaś, co mi bardzo było przykro; modliłam się o twoje zdrowie; mnie też dotknął los podobny i chorobą uwieził w domu, niepokoiłam się prócz tego o chore także matusię i siostrzyczkę. Ściskam cię z całego serca. Wszystkim nieznanym koleżankom w przyjemnym czytaniu „Wieczorów” — pozdrowienia zasyla *Sosenka*.

Droga moja Szczeroci! Bardzo mi się podobałaś, tak z pseudonymu jak i z opowiadania Świątełka. Wiem że nazywaś się Wańdzia i masz lat 14, jesteś więc w równym wieku ze mną. Pośyłam ci szaradę, lecz nie wiem czy jest dobrą i czy Redakcyja ją wydrukuje. O sobie nic ci nie donoszę, bo liścik byłby za długi. Teraz tylko całuję cię serdecznie i prosi o odpowiedź nieznaną *Prawda*.

Kochane Wisienko z nad Sobu i Szczeroci! Wy już pewnie, drogie moje, narzekacie na Ostróżkę, iż tak długo milezy, o, wierzcie mi to nie jej wina; lekcy nie pozwalają na długą korespondencję. Co teraz czytasz, Wisienko? ja, „Odgłosy gór i dolin” jestto jeszcze jedna pamiątka po Kochanej Pani. Mnie się zdaje że ją już nie trzeba zwać „Kochaną” lecz „Nieodżałowaną, niezapomnianą” Muzykę, droga Szczeroci, lubię szalenie i mam też do tego zdolności. Na zakończenie jeszcze słówko. Wisienka już oddawna nosi w mem serduszkku nazwę najserdeczniejszej przyjaciółki, a ty, Szczeroci, czy chcesz nią mi też zostać? Wasza *Biała Ostróżka*.

Jestem nową prenumeratorką i witam was moje kochane siostrzyczki; podobają mi się bardzo wasze korespondencje i proszę aby która z was do mnie napisała. *Niezapominajka z Zacisza*.